



# GENISZY PYŁ

ADRIANNA BIEŁOWIEC

**ADRIANNA BIEŁOWIEC**

# **GENIEY PYŁ**

**FRAGMENTY**



Copyright © by Adrianna Bielowiec

Wydanie pierwsze, Szczecin 2019

Redakcja i korekta: Anna Nowak

Redakcja techniczna: Paweł Prusinowski

ISBN wydanie papierowe: 978-83-941896-3-1

ISBN wydanie elektroniczne: 978-83-941896-2-4

Projekt i wykonanie okładki: Adrianna Bielowiec

Ilustracje i zdjęcia: Adrianna Bielowiec, Mike Lacoste, Reimund Bertrams, TPHeinz, Victoria Borodinova

Strona autorska: [www.facebook.com/zodiacuniversum/](http://www.facebook.com/zodiacuniversum/)

# O UPADKU VIERO RAJIVARKA



Ocknął się i od razu pożałował, że nie jest martwy. Przekłęci uruladi odebrali mu przywilej szybkiej śmierci po sromotnej klęsce, jaka spotkała jego armię. Pamięć ostatnich wydarzeń również nie okazała litości: powróciła ze świadomości Rajivarka, że może swobodnie oddychać. Silnie bolała go głowa, odczuwał mdłości, a ciało wydawało się odrętwiałe. Tajemniczy dym rozpylony przez uruladi rozwiął się na wszystkie strony. Przez osłonę hełmu Rajivark zauważył, że złocisto-lazurowe niebo jest bezchmurne, jakby i ono chciało zadać mu kolejny cios, uzmysławiając wiero, że spokój niebios jest dla niego nieosiągalny. Nadrzędna gwiazda Vikoko była za horyzontem, pogrążając świat w półmroku przy słabym świetle kilku odległych sióstr.

Rajivark oparł się na łokciach, zacisnął zęby, bo poczuł kolejne ogniska bólu, lecz je zignorował. Do pewnego stopnia był odporny na ból. Podniósł się wolno, najpierw stał zgarbiony, z rękoma opartymi o kolana, by nie zwymiotować. Zrzucił hełm, skoro już nie uczestniczył w bitwie, zostawiając na dole twarzy aparat oddechowy połączony z korpusem zbroi. Gruba skóra chroniła wnętrze ciała przed przedostaniem się doń trujących gazów z atmosfery, risanork mógł chodzić nago po planecie przez wiele dni, nim doświadczyłby pierwszych dolegliwości, pod warunkiem, że zachowałby aparat oddechowy z cyrkulatorem.

Zdjęcie osłony głowy przyniosło Rajivarkowi nieznaczną ulgę. Ale tylko na chwilę.

Wokół rozciągało się morze leżących nieruchomo ciał. Brakowało także sprzętu. Uruladi zniknęli. Podobnie jak śmiercio-  
nośne wieże, które wsunęły się do wnętrza planety.

– Nie, nie, nie...

Utykając, bo jeszcze nie doszedł do siebie po szoku parafizycznym, ruszył ku najbliższym wojownikom. Był przerażony: wśród leżących risanorków, którym odebrano części zbroi, nie zauważył jarzących się piersi czy oczu.

Najpierw doczłapał do Leiko, przyklęknął przy niej. Po krótkich oględzinach stwierdził, że kobieta jest martwa. To samo miało miejsce w przypadku kolejnych wojowników. Wokół panował spokój. Tak przeraźliwy spokój...

– Kariak! – ryknął wiero. Biegając pośród zabitych, rozpaczliwie szukał swojego przyjaciela. Logika nie pozostawiała złudzeń, jednak Rajivark wołał naiwniej myśleć, że aż tak strasznie być nie może.

Po kilku desperackich nawoływaniach znalazł podkomendnego. Leżał przy innym wojowniku w pozycji, jakby chciał mu pomóc, lecz cios, który rozbił Kariakowi czaszkę, powalił go na ziemię.

Rajivark przykucnął, uniósł lekko ręce i nie wiedział, co ma z nimi począć. Ciśnienie skumulowane w jego piersi zdawało się ją rozsadzać, co stać się jednak nie mogło, gdyż twarda, przezroczysta tkanka była dostosowana do silnych ucisków.

Przekręcił podkomendnego na plecy i ułożył sobie na kolanach, ręką podtrzymał jego głowę, nie dbając o to, że biała krew brudzi Rajivarkowi opancerzenie.

– Co ja zrobiłem? – szeptał. – Dlaczego w swej żądzy walki cię nie posłuchałem? To ty powinieneś być wiero, nie ja. Przepraszam, Kariaku. Tak strasznie przepraszam. Zabiłem was wszystkich.

Po śmierci pozbawione światła oczy risanorka wyglądały jak u wielu innych inteligentnych gatunków – dało się dostrzec źrenicę, tęczęwkę i białkówkę. Rajivark dowiedział się oto, że Kariak zawsze miał różowe oczy.

Oparł czoło o czoło przyjaciela i zaczął szlochać.

Wszystko przepadło. Zawiódł swój lud i władcę tyrikujirre, którym sam chciał kiedyś zostać jako pretendent wiero, mógł bowiem dalej być w wojsku albo starać się o władzę nad narodem. Doprowadził do bezsensownej śmierci swoich wojowników. Nikt nie popełnił takiej zbrodni od początku ery nowożytnej, gdy risanorkowie po raz pierwszy opuścili Tirigorian.

Rozumiał, dlaczego uruladi pozostawili go przy życiu. Poznali normy społeczne risanorków na tyle dobrze, by wiedzieć, że nie ma nic gorszego dla altruistycznego ludu, niż patrzeć na śmierć swoich braci i sióstr, zwłaszcza gdy ma się świadomość, że jest się powodem zaistniałej tragedii. A najdotkliwiej odczuwali to dowódcy i władcy. Rajivark nienawidził uruladi za to, na co go skazali, lecz i podziwiał za okrutną doskonałość opracowanego planu. Jako wiero mógł podjąć teraz jedną z kilku decyzji. Wrócić do swoich, dalej dowodzić – risanorkowie wybacząli nawet największe błędy – lecz żyć z łata hańby, co szybko doprowadziłoby go do choroby psychicznej. Wrócić, zrezygnować ze swej funkcji, zmienić powołanie i cierpieć jak w poprzednim przypadku. Wrócić, poddać się medycznemu zabiegowi czyszczenia pamięci, czego nie stosował jednak żaden risanork, uważając, że jest to godny pogardy sposób radzenia sobie z problemem. Rajivark mógł jeszcze popełnić samobójstwo. Ostatnią możliwością było dobrowolne wygnanie i dożywotnie cierpienie z dala od swojego ludu. Ewentualnie zdobycie czegoś, czym dałoby się powetować wyrządzone szkody. I to nie byle jakiego, na przykład znalezienie planety zdolnej do zasiedlenia, zdobycie potężnego sojusznika czy wynalezienie czegoś przydatnego społeczeństwu. Kara śmierci nie była brana pod uwagę. Pierwsze prawo zwyczajowe risanorków brzmiało, że żaden nie może podnosić ręki na drugiego. Zresztą nie musiało to być przestrzegane, każdy risanork rodził się bowiem ze społecznym genem altruizmu, nakazującym pomagać braciom, a nie im szkodzić. „Wy, a nie ja” było ponadto doktryną wpajaną po urodzeniu, lecz dotyczyła gatunku, a nie ludów podbijanych. Jakiegokolwiek działanie na szkodę innych risanorków – co zdarzało się niezmiernie rzadko – kończyło się ostracyzmem społecznym.

Rajivark długo zastanawiał się nad swoją sytuacją, cały czas czuwając przy martwym przyjacielu. Perspektywa życia w hańbie przerażała go. Będąc wśród swoich, codziennie musiałby

spoglądać w liczne pary oczu, a te przypominałyby mu o skazie z przeszłości. Ze swoją pamięcią robić nic nie zamierzał. Jako że jego jedyną partnerką od dzieciństwa była wojna, mógł odlecieć daleko ze świadomością, że nie porzuci nikogo bliskiego, jednak nie zamierzał się męczyć samotnie w obcym miejscu.

Pozostało więc samobójstwo.

Kiedy dotarło do niego, że wkrótce zakończy swe życie, usłyszał kroki. Uniósł głowę i ujrzał zbliżającą się grupę risanorków. Rozpoznał kilku szczęśliwców oddelegowanych do obozu, jak i członków oddziału, których wysłał na daleką flankę. Tylko przez chwilę czuł ulgę, że choć część armii ocalała.

Wojownicy na widok żyjącego dowódcy, który wcześniej czuwał nieruchomo przy Kariaku, zaczęli truchtać w jego kierunku.

– Viero! – zawołał znajomy głos, lecz pogrążony w katatonii Rajivark nie próbował ustalać, do kogo należy. Po pewnym czasie poruszył się, ułożył pieczołowicie ciało na ziemi, następnie zerwał się na równe nogi. Czuł się jak morderca, którego przyłapano na zbrodni. Nerwowo wodził oczyma po przybyłych podkomendnych.

– Viero – ni zapytał, ni szepnął współczująco przybyły wojownik. Rajivark rozpoznał go, nazywał się VENDORIUK i dowodził lewą flanką, która miała zakleszczyć uruladi po opuszczeniu kanionu.

Viero spoglądał na wojowników jak dziki. Nie mógł znieść tych nienaturalnie spokojnych, współczujących czy zawiedzionych spojrzeń. Wolałby oskarżające krzyki, ale kto z niższych stopniem wojowników miałby czelność wrzeszczeć na swojego viero, który jak najbardziej na to zasłużył? Słowa wyjaśnienia nie były potrzebne. Nawet nie chciał dociekać, w jaki sposób tamci przeżyli i czy uruladi ich nie ścigali. To już nie miało dla niego znaczenia.

Nie był już dowódcą.



Potrząsając głową, Rajivark zaczął się wycofywać.

Vendoriuk podszedł do niego zamaszystym krokiem i kojąco położył mu dłoń na opancerzonym ramieniu.

– Nie rób tego, potrzebujemy cię – powiedział cicho, błagalnym tonem. – Jesteśmy wojownikami, ale nie bogami. Każdy z nas może zawieść. Chociaż odwiedziliśmy wiele wszechświatów i nie spotkaliśmy nikogo lepszego od risanorków, niczym się nie różnimy od najprymitywniejszej kasty uruladi, grzebiącej w ziemi i rozpalającej ogień kamieniami, jeśli chodzi o popełnianie błędów. Nikt cię nie będzie oskarżał. Nie odchódź.

Rajivark chwycił jego rękę i zsunął z ramienia. Cofnął się o kilka kroków. Wyjął spod pancerza zawieszony na wstędze order, który otrzymał za liczne zasługi, nim awansowano go na viero. Wodził przez moment pazurem palca wskazującego po napisach i symbolach. Dotąd nie zawiódł. Nigdy nie został pobity przez słabszego przeciwnika. Naciągał na szyi wstęgę tak mocno, zahaczywszy o brudę pancerza, aż wreszcie się poddała i pękła. Zamierzał upuścić złociste oznaczenie na ziemię, lecz ostatecznie zacisnął palce wokół niego i się odwrócił.

Nie słyszał słów za plecami. Jego ludzie pozwolili mu odejść z honorem.

Kiedy za kominem intruzji zniknął risanorkom z oczu, zaczął biec na skalistą pustynię smaganą wiatrem. Ostatnim wspomnieniem z jego życia będzie widok twarzy wojowników rozgromionej armii, patrzących na niego z politowaniem.



Nigdy przez myśl mu nie przeszło, że tuż przed śmiercią dowie się na swój temat nowych rzeczy. Pierwsza z nich była taka, że pod grubą skórą opancerzonego hegemonu, który podbił niezliczoną ilość planet i zabił niezliczoną ilość istot, krył się żałosny tchórz.

Rajivark od pewnego czasu stał na krawędzi urwiska, ale nie potrafił się zabić. Wystarczyło zrobić krok i wpaść w bezdenną przepaść. Jednak on tkwił nieruchomo, przed pęknięciem planety uświadomił sobie bowiem, jak kocha życie. Wciąż był młody i chciał żyć. Tak wiele jeszcze zobaczyć. Nie tracić najcenniejszego daru kosmosu. Mógłby stać się nieśmiertelny, o czym kiedyś marzył – o przejęciu tronu po Kogurijo i zostaniu wiecznym władcą risanorków. Próbował skończyć ze sobą przez pozbycie się aparatu oddechowego, lecz kiedy zaczęły palić go płuca z trudem łapiące powietrze, znów przytknął zawór do nosa i ust.



Były wiero ryknął, rozwścieczony. Podniósł głaz i cisnął nim w rozpadlinę. Oba dźwięki odbijały się długim echem.

Przysiadł na podłożu, oparł brodę na kolanie i zaczął obracać order w dłoni, wpatrując się w kostropaty horyzont martwej okolicy. Podbiegło do niego drobne stworzenie, zainteresowane ogonem wolno zamiatającym suche podłoże. Zaszczębiotało. Rajivark obrócił się, uniósł wargi w smutnym uśmiechu, patrząc, jak stworzenie o głowie wielkości jego pazura daje się podrapać po skórzastym podgardlu. Wkrótce zwierzątko straci-

ło zainteresowanie obcym, który zapatrzył się w niebo, i oddało się w podskokach.

Panował półmrok środka nocy, a kiedy ogromny księżyc sinozielonej barwy przysłonił jedną z trzech większych gwiazd, zrobiło się ciemniej. Wkrótce inny glob z układu, w którym krążyła Vikoko, znalazł się przed drugim źródłem światła. Lecz było wciąż zbyt jasno dla Rajivarka, który pochodził z planety, gdzie docierało niewiele energii gwiazd, a nocą panowały głębokie ciemności. Chętnie pograżyłby się teraz w takim totalnym mroku, niczym w szczelnym kokonie drapieżnej bestii, z którego nie mógłby się uwolnić.

Umknął mu moment, kiedy zapadł w pełen koszmarów sen. A kiedy się obudził, leżąc na boku, z orderem trzymanym luźno w dłoni, zauważył promień wschodzącej głównej gwiazdy.

Wczorajsza chandra nie minęła, poczucie wstydu tchórza wręcz się spotęgowało. A jeśli słusznie postąpił, pomyślał. Czyż życie nie było priorytetem wśród risanorków? Najcenniejszym darem dla mieszkańców multiwszechświatów? Czymś, co risanorkowie i tak nie nauczyli się doceniać w wielu przypadkach?

Rajivark wstał. Lekko dokuczał mu głód. Żałował, że nie ma przy sobie dezintegratora, mógłby wówczas sproszkować skały i uzyskać odżywcze minerały, które stanowiły podstawę pożywienia risanorków. Jednak w chwili ucieczki z pola poległych nie spodziewał się, że dostąpi zaszczytu zjedzenia ostatniego posiłku.

I tak oto pozostała mu ostateczna możliwość – wieczne wygnanie zamiast wiecznej władzy.

# PROTOPLANETA AMYRADE



– Hej, śpisz?

Diana uniosła powieki. Zerknęła ku niewielkiej służbie pojazdu, którą zawsze zatrzaśniała na czas snu. Teraz była uchylona, a w prześwicie połyskiwały bielą oczy Rajivarka, który ją przytrzymał ramionami.

– Wstawaj – szepnął ponaglająco.

Dziwna sytuacja. Vaako nigdy jej jeszcze nie budził, gdy spała w pojeździe. Pierwsze, o czym pomyślała, to o groźącym obojgu niebezpieczeństwie. Być może werahinduki ich odnalazły po dwóch „dniach” od czasu bezpiecznego powrotu do enklawy.

– Co się dzieje?

Mężczyzna przywołał na twarz serdeczny uśmiech.

– Sama zobaczysz. Nie wiem, jak długo to potrwa, może jeszcze minutę, a może godzinę. Jestem pewien, że ci się spodoba. Chodź. Naprawdę warto.

– Mam nadzieję, że masz dobry powód wyrwania mnie ze snu.

– Nie pożałujesz, obiecuję.

Dobłą stroną życia na Amyrade było to, że z niczym nie należało się śpieszyć, zupełnie jak wśród korzennych plemion afrykańskich. Na Czarnym Łądzie nie miało znaczenia, czy poranny autobus przybędzie o 5.00, czy o 11.00. Wystarczyło usiąść przy swoich bagażach i w spokoju kontemplować piękno dzikiej przyrody, póki transport nie nadjedzie. Świat Amyrade oferował jeszcze więcej. Nie było tu nawet autobusów, które dokądś zabierały pasażera, a miejsce docelowe nierzadko wiązało się z konkretną godziną, gdzie spóźnianie się oznaczało reprimendę. Diana mogła więc przerwać sen w dowolnej chwili bez poczucia, że czas potrzebny na regenerację po ciężkim dniu pracy umyka jej bezpowrotnie. Jako jedyna Ziemianka miała jego nieograniczoną ilość.

Uśmiech risanorka tylko wzmógł jej ciekawość.

– Zaraz przyjdę – zapewniła.

Rajivark skinął głową i zniknął z pola widzenia, cicho zasuwając poły włazu.

Diana wstała z posłania wymoszczonego kocami od Kirgi, narzuciła na bieliznę chlamidę i przewiązała się w pasie. Nie założyła obuwia, bo po enklawie przyjemnie chodziło się boso.

Zdziwiła się, gdy po rozsunięciu śluzy przywitał ją półmrok rozproszony słabym światłem. Z charakterystycznym dla siebie gestem zakrywania dłońmi ust, gdy działo się coś niedobrego albo niezwykłego, Diana spojrzała w górę. Zmianę koloru nieba obserwowała dwukrotnie. Najpierw po przybyciu na Amyrade, kiedy to bezkresną czerwień nad jej głową szpeciły skazy czerni, potem nad enklawą Kirgi – oglądała wzburzone barwy szarości, jakby walczyło ze sobą kilka chmur cyklonowych. Teraz niebo było ciemnoszafirowe. Jednak to nie osobiwa barwa zdumiała kobietę: całą półkulę oblepiały migoczące gwiazdy, lecz w takiej ilości, jakby stanąć zimą na szczycie Himalajów i widoczną ilość ciał niebieskich przemnożyć przez tysiąc. Większe i mniejsze. Jasne i słabo świecące niczym lampy solarne tkwiące cały dzień pod chmurnym niebem. Widać również było zarysy kilku planet oraz kolorowe plamy mgławic, jakby grafik komputerowy ponakładał na siebie w Photoshopie warstwy zdjęć od NASA.

Oniemiała Diana chłonęła widok szeroko otwartymi oczami, wciąż trzymając dłonie przy ustach. Była tak zachwycona, że nie zareagowała w żaden sposób, gdy Rajivark podszedł do niej z boku i objął ją ramieniem.

– Robi wrażenie, prawda? – skomentował, spoglądając w niebo.

– Niesamowite – przyznała Diana. Cofnęła dłonie. – Dlaczego właściwie niebo się zmieniło?

– To przebicie, bardzo silne. Czasem zdarzają się równie intensywne. Mogą trwać od kilku minut do kilku godzin. Widać wówczas fragmenty różnych wszechświatów, nakładają się na siebie niczym warstwy w programach graficznych, o jakich mi

opowiadałaś.

– Wiesz, właśnie dokładnie o tym pomyślałam.

– Rozpoznaję nawet kilka konstelacji gwiazdnych z mojego wszechświata, ale w tych systemach nie istnieje nawet najprostsza forma życia. To te tutaj. – Risanork wskazywał pazurem kolejne gwiazdy. Zsunął z Diany drugie ramię. – Ciekawe, czy to, co widzimy podczas przebiccia, ma coś wspólnego z nami samymi.

– Ja nie widzę nic znajomego. A nawet jeśli coś tam jest, trudno to rozpoznać przy takiej ilości gwiazd.

– Mhm.

– Miałaś rację. – Spojrzała rozpromieniona w jego stronę. – Warto było mnie obudzić. Niewiele jest tu rozrywek. Dziękuję, Rai.

Risanork odpowiedział ciepłym uśmiechem.

– Proponuję iść na dach sanktuarium, tam nic nie będzie przysłaniać widoku nieba.

Kobieta spojrzała na rozłożysty posąg, którego czarna sylwetka psuła część widoku.

– Właściwie czemu nie.

Niebawem znaleźli się w miejscu, gdzie Diana słuchała muzyki w wykonaniu Rajivarka. Dziewczyna wypatrzyła kępkę roślin okrywającą część dachu niczym miękkie, sprężyste mech. Kiedy na nim usiadła po turecku, w przestworza uniosły się jasne nasiona podobne do gwiazdnego pyłu.

Risanork znów zagrał na instrumencie. Stał, tworząc spokojną, melancholijną melodię, a lekkie nasiona fruwały wokół niczym stada leniwych świetlików.

Diana padła plecami na kobierzec, rozpościerając ramiona, zamknęła oczy i poddała się kontemplacji, odprężona i ukontentowana jak nigdy dotąd. Wreszcie poczuła prawdziwą radość. Nie miała nic, lecz w rzeczywistości miała wszystko. Całe wszechświaty wokół siebie. Gwiazdy. Niekończący się czas. Spokój. Muzykę. I strażnika, przed którym trzęsła się nie-

malże cała protoplaneta Amyrade.



WALKA

# WALKA



Strzał nastąpił gdzieś z niszy nad pomostem. Uderzyło przy butach Rajivarka, wypalając dziurę w podłożu. Risanork zawarczał, lustrując odległe zakamarki. Uruladi dał mu wyraźny sygnał, że to nie on trzyma kima na wodzy, ale odwrotnie. Viero nie mógł wyłapać delikatnego światła emanowanego przez ciało wroga, bo ten nosił zbroję.

Rajivark nasłuchiwał przez chwilę. Puścił serię po miejscu, gdzie zdawało mu się, że słyszy oddech. Dobrze oszacował, jednak kim włączył tarczę, potem skoczył na pomost i szybko się przemieścił.

– W co ty pogrywasz!?! – Viero rzucił się w pogoń za kimem.

Wbiegł pochylnią na pomost rozdzielający dolne komnaty od przestrzeni pod głównym, sklepionym stropem. Był odsłonięty, lecz na razie kim nie chciał go zabić, tylko bardziej rozdrażnić i upokorzyć, popisując się swoją przewagą i znajomością miejsca.

Rajivark przemieszczał się, szukając go. Padły kolejne zaczepne strzały, nie wiadomo skąd. Biegając po całym kompleksie, wymienili parę razy ogień, strzelając i szybko się chowając.

Risanork dostał w udo, ryknął z bólu i złości. Zmienił tryb broni i zawalił sporą część sufitu, nie dbając o to, że łańcuchowo może się zapisać reszta konstrukcji.

Wiedział już, że uruladi chował się na górze, bo spadł na pomost razem z fragmentami stropu. Urządzenie generujące tarczę zsunęło mu się z nadgarstka.

Kiedy obolały kim próbował się pozbierać, Rajivark ruszył biegiem ku niemu. Uderzył go z rozpędu, przez co zwałił z pomostu, a urządzenie zmiażdżył butem, następnie zeskoczył z kładki, ignorując rany, co nie było trudne przy furii, jaka go ogarnęła. Przeleciało mu przez głowę, że gdy czuł się tak ostatnim razem, zginęli risanorkowie.

Władca uruladi przetoczył się po podłodze i wypadł na zewnątrz przez kolejną dziurę w budynku, która powstała pod-

czas wymiany ognia. Viero szedł w jego kierunku z uniesioną bronią. Poturbowany kim, który nie połamał się tylko dzięki pancerni, starał się podnieść. Zgubił swoją broń.

– I co? Sztuczki się skończyły? – Risanork zerwał mu hełm z głowy. Z zasady nie traktował tak władców pokonanych gatunków, bo zwykle mieli jakąś godność, ale tym tchórzem się brzydził. – A teraz popatrz na mnie!

Padł strzał.

Rajivark wytrzeszczył oczy, zacisnął zęby.

Padł kolejny strzał, potem następne. Kilka przestrzeliło mu pierś.

Krzywiąc się, viero obrócił się i ujrzał ledwo stojącego uruladi. Był to ciężko ranny pilot zestrzelonej maszyny, któremu zabrakło sił do kolejnego naciśnięcia spustu.

Rajivark szybko zakończył jego życie, rozpryskując go na kawałki, po czym upuścił broń, padł na czworaka, a potem przekręcił się na plecy.